

Donald Tusk został wybrany na przewodniczącego Rady Europejskiej. Przede wszystkim dlatego, że miał poparcie kanclerz Niemiec Angeli Merkel, której udało się przekonać też Brytyjczyków i Francuzów, bardzo długo niechętnych polskiemu premierowi.

Mówiąc językiem kolarskim, Merkel doskonale „rozprowadziła” Donalda Tuska przed finiszem i ten etap zakończył się ich obopólnym sukcesem. I choć polskie media, zachwycając się wyborem Tuska, przemilczają okoliczności jego politycznego awansu, nie da się od tej kwestii uciec. Ona bowiem będzie miała najprawdopodobniej także ogromny wpływ na poczynania Donalda Tuska na stanowisku przewodniczącego Rady Europejskiej, które ma zajmować przez najbliższe pięć lat – czyli dwie 2,5-letnie kadencje – tak jak jego poprzednik Herman Van Rompuy.

Miesiące negocjacji

Donald Tusk, gdy tylko jego nazwisko pojawiło się w poufnych negocjacjach, miał poparcie Niemiec i krajów naszej części UE. Premier wzbraniał się przed wyjazdem do Brukseli, wiele razy publicznie deklarował, że europejska polityka go nie interesuje, przekonywał, że jego rząd walczy o to, żeby szefem unijnej dyplomacji został Radosław Sikorski. Okazało się jednak, że była to tylko gra, bo już dawno Donald Tusk przystał na propozycję Angeli Merkel i stał się kandydatem na przewodniczącego RE. Jednak zgodnie z polityczną praktyką urzędujący premier nigdy nie jest oficjalnie kandydatem na ważne unijne stanowisko, dopóki nie zostanie zaakceptowany.

Ta sytuacja kolejny raz świadczy o ogromnym wpływie, jaki ma na Tuska Merkel. Nawet posłowie Platformy Obywatelskiej przypominają, że to niemiecka kanclerz przekonała Tuska, aby w 2010 roku nie startował w wyborach prezydenckich. Poza tym sam premier specjalnie nie kryje się z tym, że w UE najlepiej mu się współpracuje z Merkel i w wielu sprawach popierał Berlin. To dlatego nie tylko krajowa opozycja, głównie PiS, ale i wielu unijnych polityków zarzucało polskiemu rządowi zbytnią uległość wobec Niemiec. Teraz –wydaje się – w przypadku Tuska to zaprocentowało.

Leave this field empty if you're human:

Profesor Tomasz G. Grosse z Instytutu Sobieskiego nie ma wątpliwości, że gdyby nie poparcie Merkel, Donald Tusk nie zostałby szefem Rady Europejskiej. – Stanowisko Niemiec było kluczowe – mówi Grosse. I okazało się, że nie było przeszkodą w nominowaniu Tuska

nawet to, że w niewystarczającym stopniu zna język angielski, a jeszcze gorzej jest z jego francuskim. Wszak zwłaszcza Francja do tej pory upierała się, że przewodniczący RE powinien znać biegle oba główne języki UE, których używa się podczas roboczych spotkań Rady Europejskiej. Merkel jednak dopięła swego, promowała Tuska jako „godnego zaufania Europejczyka”, a w wywiadach prasowych podkreślała, że „nigdy nie zawiodła się na Donaldzie Tusku”.

Najtrudniej jednak było przełamać opór Wielkiej Brytanii. Wiadomo przecież, że polski i brytyjski premier nie przepadają za sobą. Donald Tusk i David Cameron starli się choćby przy okazji kwestii zasiłków dla imigrantów. Tusk nieraz też wykorzystywał politykę prowadzoną przez Londyn do atakowania PiS, które z konserwatystami brytyjskimi zasiada w jednej frakcji w Parlamencie Europejskim, co również nie uszło uwagi Londynu. Ale w końcu polski premier musiał pójść na ustępstwa i kupić sobie poparcie Camerona, bo gdyby ten zgłosił weto, Tusk musiałby porzucić marzenia o Brukseli.

Obiecał Cameronowi, że przyjrzy się problemowi zalewu Wielkiej Brytanii przez imigrantów z naszej części Europy (a jest to związane głównie z wypłatami zasiłków socjalnych). Zadeklarował też, że będzie się starał, aby reforma UE była prowadzona w duchu brytyjskich postulatów, a Londyn jest przeciwny zacieśnianiu integracji europejskiej, co akurat jeszcze niedawno też było sprzeczne z poglądami Tuska. Co więcej, Brytyjczycy mocno liczą na to, że Tusk będzie mediatorem, który pomoże im wynegocjować nowe warunki członkostwa w Unii Europejskiej. Ma to pomóc Cameronowi w wygraniu referendum w sprawie pozostania Wielkiej Brytanii w UE.

David Cameron poparł Tuska po rozmowie telefonicznej obu polityków, choć na stanowisku przewodniczącego RE długo widział premier Danii Helle Thorning-Schmidt. Iduńska polityk była mocnym kandydatem. Ale gdy Włoszka Federica Mogherini została nową szefową unijnej dyplomacji, Thorning-Schmidt przestała się liczyć. Awans Mogherini spowodował też, że swoje stanowisko wobec Tuska zrewidował Paryż i prezydent François Hollande też uległ namowom Niemiec. I gdy okazało się, że największe kraje Unii zgodnie popierają Tuska, dostał on także głosy niezdecydowanych bądź neutralnych w tej kwestii państw i został jednogłośnie wybrany na szefa RE – to wedle unijnych zwyczajów był niezbędny warunek. Otwarte pozostaje pytanie, komu i co jeszcze obiecał Tusk, gdy starał się o stanowisko szefa RE.

Co może Tusk?

Unijny awans premiera wywołał wśród rządzących i w prorządowych mediach wręcz euforię. Współpracownicy Tuska rozpytywali się w zachwytach, podkreślali, że ich pryncypał jest

jednym z najważniejszych polityków w UE.

Prezydent Bronisław Komorowski mówił o wielkim zwycięstwie Polski. - Co oznacza nie tylko ogromne uznanie dla polskich dokonań i polskiej pozycji w świecie europejskim, ale również zwiększenie polskich możliwości - stwierdził Komorowski.

Dla wicepremiera Janusza Piechocińskiego z PSL wybór Donalda Tuska „to zwiększenie potencjału i siły polskiego głosu”. A w mediach o Tusku nie mówi się inaczej jak o „prezydencie Unii Europejskiej”, choć takiego stanowiska nie ma, jest tylko przewodniczący - z angielska president - Rady Europejskiej. To jednak służy podniesieniu rangi premiera, poprawie jego wizerunku, jak też wizerunku Platformy Obywatelskiej, która ma teraz podobno odbić się od sondażowego dna i odzyskać zaufanie wyborców.

Zewsząd też słychać głosy nadziei, że Tusk będzie miał teraz większe możliwości zabiegania o polskie interesy w UE. Eksperci jednak te głosy studzą, wskazując na to, że przewodniczący Rady Europejskiej to nie jest funkcja decyzyjna. To jest osoba, której zadaniem jest przygotowywanie spotkań szefów państw i rządów 28 krajów, szukanie kompromisu między unijnymi przywódcami, a nie forsowanie polskich interesów, bo od tego jest rząd i minister spraw zagranicznych.

Oczywiście, wiele zależy od osobowości szefa RE, jednak trudno oczekiwać, aby Tusk zdobył sobie mocniejszą pozycję, niż miał Herman Van Rompuy. Może jednak - oby tak się stało - mieć wpływ na kształt np. unijnej polityki energetycznej czy relacji z Rosją.

Profesor Tomasz Grosse wskazuje, że Niemcy oczywiście liczą, że Tusk będzie wspierał ich unijną politykę, inicjatywy, wszak to dzięki Merkel obejmie on stanowisko przewodniczącego. W takim też duchu piszą o Tusku niemieckie gazety, które zasadniczo uznały nominację polskiego premiera za „dobry wybór”. Twierdzą one np., że Tusk byłby nawet „łatwiejszy we współżyciu” dla Berlina niż Jean-Claude Juncker, nowy szef Komisji Europejskiej, którego też forsowała Merkel. Także prasa i telewizja w innych europejskich krajach postrzegają Tuska jako faworyta Niemiec, jako polityka, który dostał prestiżowy urząd dzięki poparciu Angeli Merkel. Co jest kolejnym dowodem na niemiecką hegemonię w UE.

Ale podobne oczekiwania wobec Tuska mają też Brytyjczycy i Francuzi, bo przecież im też składał szereg obietnic. Polski premier będzie więc musiał nieźle lawirować, aby wszystkich zadowolić. Bo jeśli się komuś narazi, to za 2,5 roku, gdy będzie głosowanie nad wnioskiem o powierzenie Tuskowi funkcji szefa RE na kolejne 2,5 roku, któryś z unijnych potentatów może zgłosić weto i przerwać europejską karierę Tuska.

Wbrew twierdzeniom wielu mediów i polityków awans polskiego premiera nie został wcale negatywnie przyjęty w Moskwie. Bo choć Tusk od paru miesięcy straszy Polaków Rosją, to jednak przez wiele lat dał się poznać jako zwolennik prowadzenia miękkiej polityki wobec Rosji, a wojnę na Ukrainie wykorzystał w walce politycznej w kraju - dzięki temu PO minimalnie wygrała wybory do Parlamentu Europejskiego. Władimir Putin doskonale o tym wie i dlatego ze strony Kremla nie było żadnych negatywnych komentarzy. Zresztą Moskwa zachowuje się tak, jakby w ogóle nie obchodziła jej kwestia obsady stanowiska przewodniczącego RE. I nie ma się też co łudzić, że gdyby Angela Merkel uznała Tuska za polityka antyrosyjskiego, to nadal by go popierała.

Reasumując, trzeba powiedzieć, że polski premier ma małe szanse na to, aby stać się „rozgrywającym” w UE. Nie po to został wybrany, przecież unijne mocarstwa, głównie Niemcy, nie zrezygnują ze swojej władzy w Unii narzecz przewodniczącego Rady Europejskiej. Pamiętajmy też o tym, co działo się pięć lat temu, gdy wybierano pierwszy raz „prezydenta UE”. Wtedy nikt nie ukrywał, że nie może to być polityk z ambicjami, wręcz przeciwnie, musi to być osoba, która zagwarantuje, że nie będzie wtrącała się zbyt w unijną politykę, którą chcą nadal kształtować głównie Niemcy i Francuzi.

Profesor Grosse wskazuje, że nominacja Tuska nie zmieni układu sił w UE, nie powinniśmy też oczekiwać, że ustępujący premier będzie mógł lepiej wspierać polskie interesy. Nasza pozycja w UE będzie zależała od tego, co zrobią kolejne rządy, premierzy, od sprawności polskiej dyplomacji.

Profesor Jadwiga Staniszkis wskazuje, że Tusk dostał wysokie stanowisko „z rozdania”, ma też duże wątpliwości co do kompetencji premiera. Twierdzi wręcz, że on się na to stanowisko nie nadaje. Bo w UE nie da się robić polityki tak, jak do tego Tusk przyzwyczyił się w Polsce. A eurodeputowany Janusz Wojciechowski (PiS) mówi wręcz o tym, że Donald Tusk porzucił urząd premiera dla posady w Brukseli, na co nigdy nie zdecydowałby się szef rządu innego dużego unijnego kraju. - To pierwszy w historii Unii przypadek, żeby premier dużego europejskiego kraju zostawił własny rząd, by objąć posadę w Brukseli. Tego jeszcze nie było - uważa Wojciechowski.

Źródło: Nasz Dziennik. [Czytaj dalej...](#)